

**Maria Podgórska  
z domu Budyń**

# Wspomnienia

**19 45**

**uwolnieni z obozów**



**uwolnieni od pracy  
przymusowej**

STOWARZYSZENIE  
POLAKÓW POSZKODOWANYCH  
PRZEZ III RZESZĘ



LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy w Bogatyni  
Towarzystwo Miłośników Ziemi Bogatyńskiej  
Bractwo Ziemi Bogatyńskiej

Urodziłam się na ziemi krakowskiej. Gdy wybuchła wojna miałam 3 lata. Miesiąc po wybuchu wojny urodził się brat. Wkrótce ojciec został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec. Mama została sama z małymi dziećmi. Moja babcia ze strony mamy od szeregu lat mieszkała w Saksonii o okolicy Zittau. Mama napisała do babci list z prośbą aby umożliwiła nam połączenie się z ojcem. Babcia jako zasiedziała emigrantka potrafiła załatwić w urzędach niemieckich odszukanie ojca i ściągnąć go Zittau. Sama mieszkała w pobliskim Oybin. Ojciec został zatrudniony w dużym gospodarstwie hodowlanym krów mlecznych położonym tuż za Zittau przy drodze do Górlitz. W gospodarstwie hodowano czterdzieści krów mlecznych oprócz Polaków zatrudnieni również byli jeńcy francuscy. Wkrótce otrzymaliśmy list od ojca z zezwoleniem władz niemieckich na podróż do Niemiec i połączenie się z ojcem. Po przyjeździe zamieszkaliśmy wraz z innymi Polakami w domu położonym tuż obok gospodarstwa. Gospodarstwem zarządzał surowy Niemiec. Mama wychodziła do pracy wraz z ojcem. Tutaj urodziła się siostra. Ja jako najstarsza zajmowałam się rodzeństwem, gdy rodzice wychodzili do pracy. Gdy skończyłam siedem lat rozpoczęłam naukę w szkole niemieckiej. Gdy tatuś odmówił podpisania volkslisty (lista obejmowała Polaków mających przodków niemieckich) wyrzucono mnie ze szkoły. Mimo krótkiego pobytu w szkole nauczyłam się mówić po niemiecku. Rodzice często odwozili mnie do pobliskiego Oybin w odwiedziny do babci. Dziadkowie lubili, gdy mieszkałam wraz z nimi. Dziadkowie posługiwali się wyłącznie językiem niemieckim.

Zaczęto mówić o bliskim zakończeniu wojny. Pewnego dnia niemiecki nadzorca nie przyszedł do pracy. Zaczęto ogłaszać alarm lotniczy. Lotnictwo radzieckie bombardowało okolice. Siedzieliśmy wtedy w piwnicy przy palącej się świeczce. W piwnicy zgromadzili się wszyscy pracownicy gospodarstwa. Ojciec obawiając się uderzenia bomby w dom i zasypania wyjścia z piwnicy uniemożliwiającej jej opuszczenie. Postanowił, że przeczekamy naloty w polu. Pamiętam, że gdy biegliśmy w pole nad naszymi głowami latały samoloty a jedna z bomb wybuchła tuż obok nas. Ojciec zrozumiał, że celem bombardowań nie są budynki lecz ludzie. Wróciliśmy natychmiast do piwnicy. Bombardowanie ucichło i gdy wyszliśmy z piwnicy zobaczyłam rosyjskich żołnierzy pijących mleko wprost z konwi, na drodze stały czołgi, które wkrótce ruszyły w stronę Górlitz. Gospodarstwo funkcjonowało normalnie mimo braku nadzorca. Tak skończyła się wojna.

Jeńcy francuscy zaczęli przygotowywać się do powrotu do swojego kraju. Zachęcali nas do wyjazdu wraz z nimi. Ojciec postanowił jednak, że pojedziemy do Polski. Do dziś nie wiem skąd się dowiedział, że za Nysą będzie Polska. Naprzeciwko naszego gospodarstwa w

przydrożnym rowie leżeli martwi ludzie, konie i powywracane wozy. Zapewne były to ofiary bombardowania kolumny uciekinierów niemieckich. Ojciec znalazł w rowie rannego konia, opatrzył jego nogę własną koszulą i wraz z wozem przyprowadził go do gospodarstwa. Wkrótce cała rodzina ulokowała się na tym wozie i wyruszyliśmy w kierunku najbliższego mostu w Sieniawce. Most był zadrutowany lecz ojciec z łatwością usunął przeszkodę. Tak wkrótce przez dzisiejsze Rybarzowice znaleźliśmy się w dzisiejszej Bogatyni. Zamieszkaliśmy w dużym domu położonym w gospodarstwie przy dzisiejszej ulicy Biskupiej. Gospodarstwo było opuszczone lecz mieszkanie wyglądało tak, jakby gospodarze mieli za chwilę wrócić. Widać było, że mieszkanie należało do bogatego gospodarza. Zabudowania dzisiaj już nie istnieją zostały rozebrane. Sąsiednie domostwa stały opuszczone. Od ojca wiem, że w Bogatyni zamieszkaliśmy już 14 maja. Tak rozpoczęło się nasze życie w Polsce.

Po kilku tygodniach do naszego gospodarstwa przyszedł oficer w polskim mundurze i oświadczył, że on walczył za ojczyznę i ma większe prawa do zamieszkania w tym domu. Przeprowadziliśmy się do również opuszczonej gospody przy dzisiejszej ulicy Kurzańskiej w pobliżu kościoła. Później okazało się, że oficerem tym był porucznik Popiel. Z rodziną Popielów utrzymywaliśmy przyjazne stosunki. Nowy dom był duży i służył gością do dla nowych osiedleńców Bogatyni. Okazało się, że niemieckimi właścicielami gospody była rodzina Knospe, która nigdy nie powróciła do swojej własności. Jedynie w domu naprzeciwko mieszkała ich krewna z dwiema córkami. Córki te jeszcze dziś raz w roku odwiedzają swoją dawną siedzibę.

Niedaleko naszego domu wzdłuż strumyka znajdowało się składowisko porzuconego sprzętu wojskowego zebranego z okolicy przez polskich żołnierzy. Ja codziennie gnając krowy na pastwisko bardzo uważałam, aby nie zboczyły na drugą stronę drogi, gdyż groziło to spowodowaniem wybuchu zalegających tu niewypałów. Sama byłam świadkiem, jak grupa chłopców spowodowała eksplozję a jeden z nich przybiegł do naszego domu podtrzymując ręką jelita. Jak się później okazało był to syn przyszłego burmistrza Bogatyni Czopa. Chłopiec ten przeżył i żyje do dziś, mieszka we Wrocławiu. Jego koledzy zginęli a ich szczątki wisiały na drzewach. Był to straszny widok. O miejscu tym krążyła opinia, że straszą tam duchy.

Ojciec był rolnikiem uprawiał pobliską ziemię. Wymłócone ziarno woziło się do młyna znajdującego się w dolnej Bogatyni a z mąki wypiekało się własnoręcznie chleb. W tym celu ojciec wybudował w obejściu mały piec chlebowy, w którym piekło się chleb raz na dwa tygodnie.

W pobliżu kościoła (dzisiejszy Target) mieszkały niemieckie katolickie siostry zakonne. Prowadziły małe gospodarstwo, hodowały kozy, opiekowały się kościołem i ładnie haftowały. Do nowych polskich sąsiadów odnosiły się niezwykle życzliwie i utrzymywały z nimi dobre sąsiedzkie stosunki.

W budynku szkoły znajdowała się bursa dziewcząt pracujących w Zakładach Bawełnianych.

Na jesień otworzono szkołę i utworzono klasę zbiorczą wstępną aby dobrze opanować język polski, ponieważ dzieci zamieszkałe w Bogatyni posługiwały się językiem ruskim, niemieckim i polskim. Ja z bratem w domu rozmawiałam po niemiecku, gdyż dzieciństwo moje spędziłam w otoczeniu dzieci niemieckich. Dziadkowie, u których często przebywałam również posługiwali się językiem niemieckim. Rodzice natomiast rozmawiali po polsku i starali się nas nauczyć tego języka. Z tych powodów w klasie wstępnej uczyłam się aż dwa lata. Zdenerwowana mama wymusiła na nas rozmawianie w domu wyłącznie w języku polskim i groziła pasem przy rozmowach po niemiecku. Przyniosło to dobre rezultaty i mogłam kontynuować naukę w wyższych klasach.

Koń znaleziony przez ojca w Zittau kulał lecz wiernie służył nam przez długie lata. Wdzięczny za uratowanie życia był niezwykle pracowity i łagodny. Gdy mój młodszy brat spadł kiedyś z wozu i groziło mu przejechanie kołem, koń natychmiast zatrzymał wóz. Nic dziwnego też, że gdy się zestarzał i musiał iść do rzeźni mama ze łzami w oczach żegnała go jak własne dziecko. Pożegnanie wiernego konia było dla nas wielkim przeżyciem.

Ja po ukończeniu szkoły podstawowej uczyłam się krawiectwa przez trzy lata. Później zatrudniłam się w Zakładach Bawełnianych jako tkaczka przy produkcji ręczników frotte. Tutaj pracowałam aż do emerytury. Bardzo lubiłam swoją pracę tkaczki.

Wyszłam za mąż, mąż mój był sierotą wojennym, pochodził z okolic Lwowa, ukończył technikum rolnicze i był agronomem gminnym w Bogatyni. Później pracował w elektrowni. Mieliśmy trójkę dzieci, córka umarła jako niemowlę, pierwszy syn zginął w wypadku samochodowym, drugi syn żyje.

Obecnie jestem na emeryturze mieszkam wraz z wnuczką w naszym domu, który kupiliśmy z mężem.